

# KARP LUDOJAD

PRZEMYSŁAW BORKOWSKI



Przemysław Borkowski

Karp ludojad

Saga

*Karp ludojad*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2012, 2020 Przemysław Borkowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726630190

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

## SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Karp ludojad](#)

Wydarzenia, które tu opiszę, rozegrały się w niewielkiej miejscowości Ł. położonej na dalekich, północno-wschodnich krańcach naszego kraju. Młodszy aspirant Stanisław Kot powracał właśnie z rutynowego wieczornego patrolu po okolicznych wioskach, gdy nagle jakieś trudne do wytłumaczenia przecucie kazało mu skręcić w wąską, boczną drogę prowadzącą w las. Był dwudziesty grudnia. Od paru już dni aspirant Kot nie miał zbyt dobrego nastroju. Zbliżające się święta prowokowały do przemyśleń i retrospekcji. Co tu ukrywać, wymarzona ongiś praca w policji rozczarowała go. Mimo iż w czynnej służbie pozostawał dopiero od paru miesięcy, odnosił dojmujące wrażenie zaprzepaszczenia swojego życia. Winny był tu zapewne przydział służbowy, który otrzymał po ukończeniu akademii. Miejscowość Ł. była w stanie zniweczyć nawet najbardziej płomienne policyjne powołanie. Odkąd tu przebywał, nie odnotowano żadnego morderstwa, żadnego napadu z bronią w rękę, nie zgłoszono nawet gwałtu (choć gwałty bez wątplenia odbywały się). Jedynymi przestępstwami, z jakimi miał do czynienia, były pobicia rodzinne, wandalizm spowodowany spożyciem alkoholu, drobne kradzieże z przeznaczeniem na wódkę. Miał już tego serdecznie dosyć. Wieczorami czuł, jak rośnie mu brzuch. Oczyma duszy widział siebie jako jednego z armii owych zażywnych, niemrawych policjantów, których widywał codziennie w okolicznych komisariatach, noszących bujny wąs w komplecie z białą, policyjną czapką, spędzających godziny służby na grze w karty i oglądaniu czasopism z rozebranymi panienkami.

Pragnąc odegnać od siebie czarne myśli, aspirant Kot oddał się marzeniom. Był to wypróbowany sposób odkryty jeszcze w szkole policyjnej. W owych czasach bardzo doskwierało mu jego nazwisko będące przedmiotem nieustających kpin kolegów. „Kot to, Kot tamto”, „włazł Kotek na płotek”, „pogonić Kota” - tak było ciągle! Jakże wtedy żałował, że nie nazywa się inaczej, choćby Pies. Tak, Pies to byłoby niezłe policyjne nazwisko. Inspektor Pies - jak to brzmiało! Zupełnie inaczej niż młodszy aspirant Kot, przyznacie sami.

*Inspektor Pies z kamienną twarzą trzymał na muszce czterech groźnych bandytów. Sytuacja, stwierdził to niechętnie, nie przedstawiała się różowo. Każdy z przestępców miał w łapie spluwę wielkości małego działka przeciwlotniczego, podczas gdy on mógł im przeciwstawić tylko stary, jednostrzałowy sztucer.*

*- Rzuć to, Pies! - odezwał się najgorszy z bandytów. - Uda ci się zabić najwyżej jednego z nas, reszta rozwali cię, zanim zdążysz przeładować!*

*- Może i zabiję tylko jednego, ale będziesz to ty, frajerze! - rzucił przez zęby inspektor i wystrzelił prosto w brzuch bandyty. Trup przestępcy przeleciał jeszcze parę metrów, po czym zostawiając za sobą krwawą smugę, osunął się po ścianie na ziemię. Zaskoczenie było zupełne. Ledwie którykolwiek z pozostałych przy życiu bandziorów zdążył zrozumieć, co się stało, inspektor Pies błyskawicznie przeładował broń.*

*- Który następny? - syknął jak kobra.*

Z zamyślenia wyrwał go odgłos żwiru uderzającego o podwozie samochodu. Droga, którą jechał, zwęzła się nieprzyjemnie. „Po jaką cholere tu skręciłem?” - przemknęło mu przez głowę. Teraz w każdym razie nie było już odwrotu. Musiał jechać naprzód przynajmniej do miejsca, gdzie dałoby się zawrócić. „Co za kanał!” - pomyślał. Że też zawsze musiał wpakować się w coś takiego. Jednokierunkowa, wiejska droga na jakimś zadupiu - był to prawie idealny symbol jego obecnej sytuacji życiowej. Myśl ta przygnębiła go jeszcze bardziej.

Naraz koła samochodu złapały twardszy grunt. Droga, biegnąca dotychczas w czymś w rodzaju płytkiego piaszczystego jaru, stopniowo wychodziła na otwartą przestrzeń. Nigdy tu

nie był. Z przodu w smugach samochodowych reflektorów rysowały się niewielkie, podłużne pagórki - strome i regularne, jakby usypane ręką człowieka. Za nimi błyszczała woda.

Aspirant Kot kierowany swym niezawodnym policyjnym instynktem błyskawicznie ocenił sytuację. „Stawy rybne” – pomyślał. Miejsowość Ł. słynęła z nich w całym kraju. W okolicy było ich co najmniej kilkadziesiąt. Ukryte w pobliskich lasach dostarczały rocznie ileś tam procent ryb na stoły rodaków. Stanowiły też główne (oprócz zasiłków dla bezrobotnych) źródło utrzymania miejscowej ludności. Zadowolony z trafnego rozpoznania (w końcu było już ciemno, a z pół jakby podnosiła się mgła - nie każdy byłby więc w stanie zorientować się tak szybko) właśnie miał zamiar rozpocząć zawracanie, gdy nagle coś zdziwiło go w wyglądzie tafli wody.

Zaintrygowany wysiadł z samochodu. Podeszedł bliżej, starając się nie zasłaniać światła reflektorów. Woda przed nim mieniła się i bulgotała poruszana jakby tysiącem wielkich bąbli. Nie były to jednak bąble. Na powierzchni stawu kotłowały się setki hodowlanych karp. Ściśnięte na zbyt małej już dla nich powierzchni rozpaczliwie walczyły o każdy tyk wody. Ich pokryte łuską grzbiety drgały i migotały w blasku reflektorów. „A więc tu jesteście, nasze przyszłe wigilijne potrawy” - zaśmiał się w duchu nie bez satysfakcji Kot.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział i już miał odejść, gdy nagle dostrzegł coś jeszcze. Niedaleko brzegu, lekko kołyszając się na wodzie, unosił się całkiem inny, podłużny i ciemny kształt. Nieruchomy w porównaniu z wrzącym morzem ryb wyraźnie odcinał się od otoczenia. Tuż przy jego końcu coś jednak bielą. Wytężając wzrok, aspirant podeszedł nieco bliżej. Po chwili nie miał już wątpliwości - były to zęby. Białe, wyszczerzone w niebo zęby.

Trup! - zapiszczała radośnie dusza młodszego aspiranta Kota.

Kostnica szpitala rejonowego w Ł., jak zapewne wszystkie tego typu miejsca na świecie, nie przedstawiała sobą zbyt zachęcającego widoku. Na środku białej, wyłożonej kafelkami sali znajdował się prostokątny, obity błyszczącą blachą stół zaopatrzone w małe rynienki służące do sptywania... lepiej zresztą nie wiedzieć czego. Młodszy aspirant Stanisław Kot przekraczając jej progi, odczuwał jednak dziwne, radosne podniecenie. Jego bezpośrednim powodem było ono - leżące na tymże właśnie stole najprawdziwsze *corpus delicti*. Co prawda, jego przełożeni w osobie komendanta posterunku w Ł. podejrzewali raczej nieszcześliwy wypadek - utonięcie, zamarznięcie lub tym podobne (zapewne dlatego przydzielono tę sprawę jemu), lecz on wiedział lepiej - to było morderstwo! To MUSIAŁO być morderstwo, jeśli na świecie istniały dobro, prawda i sprawiedliwość.

- Śmierć nastąpiła wskutek wielokrotnego uderzenia taboret w głowę - stwierdził na widok wchodzącego Kota stojący w białym kitlu za stołem patolog sądowy. - Świadczą o tym rozległe rany głowy oraz okrwawiony taboret znaleziony przez pana niedaleko miejsca zbrodni. W płucach nie stwierdzono obecności wody, co przeczy teoriom o utonięciu i ostatecznie potwierdza hipotezę o morderstwie. W sumie absolutnie typowy materiał. Jest tu jednak coś, co hm... odróżnia tego trupa od innych. Zechce pan łaskawie podejść... Znaczna część substancji jamy brzusznej, oczy, wargi, a także pewne fragmenty pośladków i ramion... o, proszę popatrzeć, tu, tu i tu... zostały, najogólniej mówiąc, wyżarte, prawdopodobnie przez ryby. Utrudni to pewnie identyfikację zwłok, choć dla przebiegu śledztwa nie ma praktycznego znaczenia.

- Można przecież dokonać identyfikacji na podstawie użębienia - ze źle skrywanym podnieceniem wyrzucił z siebie Kot. - Użębienie zachowało się w świetnym stanie, prawda?

- Mój drogi chłopcze, naoglądał się pan amerykańskich filmów. W miejscowościach takich jak Ł. nikt nie prowadzi podobnych zapisów. Przychodzi pacjent z bolącym zębem, to mu się go wyrывa i tyle. Ten zresztą nie wygląda na zbyt częstego gościa gabinetów dentystycznych - stwierdził patolog, z zainteresowaniem oglądając szczękę nieboszczyka.

- Ach, zapomniałem powiedzieć! - Aspirant Kot zacerwienił się po uszy. - Denat nazywa się Konstany Opiłko. Żona rozpoznała go po kurtce.

-To pana pierwsza sprawa, co? - spytał patolog kierując się ku wyjściu.

*Inspektor Pies beznamiętnie wpatrywał się w przestępcę swymi przenikliwymi oczami.*

*- To ty zabiłeś starego Harmona, Scalia! Ślady krwi na twojej marmurowej figurce etruskiego tancerza mówią same za siebie.*

*- Przecież wytarłem tę krew, do jasnej cholery!*

*- Zapomniałeś o tych małych szczelinach za uszami! Zresztą mój proces dedukcyjny już dawno jednoznacznie wskazał na ciebie.*

*- Załatwiłeś mnie, Pies! Niech cię diabli!*

*- Załatwiłeś się sam, Scalia! W momencie, gdy złamałeś prawo.*

- A, i jeszcze jedno! - Mężczyzna w białym kitlu odwrócił się, będąc już w drzwiach. - Tego trupa znaleziono w stawie rybnym, prawda? Zawiadomię o tym Sanepid. Te ryby trzeba będzie zniszczyć. Nie można przecież pozwolić, by nasi obywatele jedli w czasie świąt karpie tuczone ludzkim mięsem - zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Dupa! Dupa! Dupa! - Bynajmniej nie bezgłośna wściekłość młodszego aspiranta Kota pokryła przednią szybę radiowozu drobnymi kropelkami śliny. - Dupa! - powtórzył jeszcze raz, znacznie już jednak spokojniej. Doprawdy, miał dziś powody do zdenerwowania. Jego przełożeni, gdy tylko poznali wyniki sekcji zwłok, natychmiast odsunęli go od sprawy. Morderstwo - zbrodnia dawno nie widziana w Ł. - o, to było coś w sam raz dla komendanta! Nie liczyło się, że to Kot, Kot, a nie nikt inny, odkrył trupa, znalazł narzędzie zbrodni, ściągnął z komendy wojewódzkiej patologa sądowego. Liczyły się gwiazdki na policyjnej czapce. Jemu przydzielono odpowiedzialne (jak stwierdził komendant, klepiąc go po ramieniu) zadanie dopilnowania, by jak należy zniszczono trefne ryby. A to morderstwo było przecież jego! Jego!! On je odkrył, wypieścił, stworzył! Gdyby nie on, mieliby do czynienia najwyżej z nieszczęśliwym wypadkiem.

Droga, jakże pamiętna droga, którą jechał tamtego ponurego wieczoru, w świetle dnia wyglądała zupełnie inaczej. Otoczona z obu stron młodym, świerkowym lasem mimo nie najlepszej pogody wyglądała całkiem znośnie. „Gdyby jeszcze trochę śniegu“ - pomyślał - „byłaby prawie ładna...“ Kontemplację przyrody przerwał mu dźwięk policyjnej radiostacji.

- Jedyńka? Jedyńka? Tu komisariat! Jesteś tam? - zaskrzeczał głos w słuchawce.

- Tu jedynka! O co chodzi? - odpowiedział.

- Masz ostatnio szczęście do nieboszczyków, Kot. W twoim stawie znowu pływa jakiś trup. To chyba właściciel, niejaki Zdzisław Jabłoński.

- Rozmawiałem z nim wczoraj - wszystkie zmartwienia aspiranta uleciały nagle jak muchy znad tortu - w sprawie zniszczenia tych ryb. Wiadomo coś więcej?

- Nie, ale to może być kolejne morderstwo. Tym razem chyba komendant ci tego nie odbierze. Ryzykowałby, że znajdziesz sobie następnego trupa. Musi przecież chronić życie naszych obywateli.

- Głupie żarty - obruszył się Kot, ale jego twarz zajaśniała w uśmiechu. - Właśnie tam jadę. Bez odbioru.

*- Musi pan wrócić, inspektorze! - Gruby, łysy komisarz aż poczerwieniał z przejęcia. - Chicago bez pana stało się miastem bezprawia!*

*- Sam mnie pan zawiesił, komisarzu. - Inspektor Pies obojętnie bawił się policyjną odznaką. - Podobno zламаłem wszystkie możliwe przepisy.*

*- Wpakował pan w tego łodziarza niemal pół kilograma ołowiu, i to bez najmniejszego dowodu, że to on był mordercą!*

*- Miałem przecucie, panie komisarzu. Powiedział mi to mój psi wąż.*

Staw rybny, do którego Kot właśnie dojeżdżał, okazał się dużym, w miarę regularnym prostokątem, otoczonym niewysokim wałem utworzonym prawdopodobnie z ziemi wydobytej w trakcie jego kopania. Kiedy aspirant był tu poprzednim razem, dostrzec mógł tylko niewielką jego część oświetloną blaskiem reflektorów radiowozu. Teraz, w świetle dnia, staw wydawał się zarówno większy, jak i jakby zwykleszy. Na jego brzegu stała grupka ludzi ubranych w robocze waciaki. Otaczali półkolem leżący na ziemi kształt.

Gdy tylko ich zobaczył, włączył syrenę radiowozu. Trochę się denerwował, a dźwięk policyjnego sygnału zawsze dodawał mu pewności siebie. Z piskiem opon podjechał jak najbliższej stojących ludzi.

- Gdzie jest denat? - zawołał wyskakując dziarsko z samochodu. Ludzie rozsunęli się w milczeniu. Trup przykryty był jakąś płachtą wyglądającą na rozerwany worek po nawozie. Aspirant podszedł do niego pewnym krokiem, zdecydowanie chwycił róg płachty i podniósł go do góry.

Widok, który ukazał się jego oczom, o mało nie przyprawił go o mdłości. Nieboszczyk tylko w najogólniejszych zarysach przypominał człowieka. Cały jego przód kompletnie pozbawiony był ciała. Gdzieś tam tylko, na żebrach i na czaszce, widniały jakieś sine kłaczki, najwyraźniej fragmenty skóry i mięśni.

- Wciągnę go! - niewielki człowieczek stojący obok odezwał się niepytany. - Te ryby go wciągnęły, panie władzo! Chciał ich nałowić, zanim policja przyjedzie i każe mu zniszczyć. Taki majątek! Będzie z tysiąc kilo żywej wagi i wszystko na zatracenie. A tu święta za pasem, karpie idą jak woda, szkoda mu się zrobiło. O, tam stoi ciężarówka, co to na nią miał ładować. A te go chwyciły za czerpak i wciągnęły. Jakaśmy go znaleźli, to jeszcze rękę na drabince zaciskał. Chciał wyleźć, ale mu nie dały. Zeżarły do kości.

- Głupoty gadacie! - odezwał się inny. - Poślizgnął się i wpadł. Jakże ryba miałaby człowieka wciągnąć? Za głupia jest. Musiał się o coś głową uderzyć i utopił się. A że ryby głodne, od trzech dni nie karmione, to i obżarły go, i tyle.

- Ja tam swoje wiem! - zaperzył się człowieczek. - Wciągnę go! Wciągnęły i zeżarły!

- To już ustalili dochodzenie. - Aspirant Kot starał się nadać swojemu głosowi urzędowe brzmienie. - Na razie spuście mi wodę z tego stawu - popatrzył na tafle z wyraźną niechęcią.

- Może na dnie znajdują się jakieś dowody rzeczowe. A ryby zebrać i spalić! - rozkazał



stanowczo. - I nie ruszać trupa. Za chwilę przyjedzie tu karetka i ekipa dochodzeniowo-sledcza.

- Kto by tam chciał go ruszać - odpowiedział człowieczek. - Taka ohyda.

Młodszy aspirant Stanisław Kot kultywował dzisiaj filozoficzne nastawienie do życia. „Gdy wszystko sprzysięgnie się przeciw tobie” - myślał - „najlepszym wyjściem jest usiąść i powiedzieć sobie *panta rej*. Pozwala to odnieść się do swojej sytuacji życiowej z dystansem właściwym starożytnym sceptykom. Albo stoikom. W każdym razie jednym z nich.” Sytuacja życiowa młodszego aspiranta Kota wyglądała zaś następująco. Był oto rano dwudziestego czwartego grudnia, dnia wigilijnego. Młodszy aspirant Kot nie wyjechał na święta do rodziny, gdyż miał nadzieję odegrać decydującą rolę w śledztwie dotyczącym morderstwa Konstantego Opiłki oraz zagadkowej śmierci właściciela stawu rybnego Zdzisława Jabłońskiego. Przewidywania te niestety nie sprawdziły się. W przypadku Zdzisława Jabłońskiego czynności dochodzeniowe potwierdziły wersję o nieszczęśliwym, spowodowanym nadmierną chciwością denata wypadku. Co się zaś tyczy morderstwa, fakty są takie, że na razie nic nie wiadomo. Śledztwo, jak to się mówi, utknęło w martwym punkcie. Ewentualni podejrzani okazali się być zupełnie nieczuli na wszystkie psychologiczne sztuczki wyuczone przez aspiranta Kota w szkole policyjnej. Wzięci w krzyżowy ogień pytań tępo powtarzali, że nic nie wiedzą. Kobiety wybuchały płaczem, a mężczyźni zacinali się i milkli.

Efekt tego był taki, iż aspirant Kot siedział teraz w pokoju dyżurnym komisariatu w Ł., gdzie jako jedyny policjant nie posiadający rodziny pełnił dyżur służbowy. Tępo - jak jeszcze niedawno przesłuchiwani przez niego podejrzani - wpatrywał się w ścianę. Mijający czas umilały mu przemyślenia i retrospekcje. Oraz marzenia, którym jeszcze w szkole policyjnej oddawał się z taką lubością...

*Inspektor Pies wraz z innymi zakładnikami siedział w kucki na podłodze opanowanego przez terrorystów banku. Nie wiedzieli, kim jest. Przybył tu prywatnie, by jak co miesiąc wpłacić połowę swej pensji na lekarstwa dla biednych dzieci. Pistolet niestety zostawił w domu. Na szczęście nie był mu potrzebny - inspektor Pies uśmiechnął się pod nosem - nie na darmo przecież zwali go maszyną do zabijania.*

*Drab pilnujący zakładników stał na środku sali wyposażony w ogromnych rozmiarów karabin maszynowy. Co raz niespokojnie spoglądał w kierunku sejfów, gdzie jego dwaj kompani ładowali pieniądze do worków. Inspektor Pies czekał cierpliwie. W pewnym momencie bandyta zagapił się na chwilę dłużej. Inspektor błyskawicznie zsuł buty, wstał i w samych skarpetkach bezszelstnie podszedł do swej ofiary. Bandyta, raczej pod wpływem przeczcucia niż hałasu, odwrócił się. Żelazna dłoń inspektora zacisnęła się na jego krtani. Krótkie szarpnięcie i z ust przestępcy szerokim strumieniem bluznęła krew. Inspektor w ostatniej chwili chwycił upadający na ziemię karabin. „Teraz się zabawimy” - uśmiechnął się przerażająco i przeladował broń. Lekko jak leopard ruszył w kierunku sejfów. Naraz powietrze przesyłał dźwięk rozpaczliwego łomotania do drzwi.*

- Panie kapitanie! Panie kapitanie! - Łomotanie do drzwi okazało się zjawiskiem jak najbardziej realnym. - Panie kapitanie!!!

- Czego? - Wyrwany wprost z opanowanego przez terrorystów banku młodszy aspirant Kot zapomniał na chwilę o zasadach uprzejmego przyjmowania zgłoszeń.

- Nieszczęście! Pożar! Epidemia! - Ton głosu zza drzwi nie pozostawiał wątpliwości co do powagi sytuacji. - Niech pan otworzy, panie pułkowniku!!! - Podwyższenie rangi oznaczało zapewne przynaglenie.

- Już idę, idę... - Aspirant Kot niechętnie podniósł się z krzesła.

Człowiek, który stał za drzwiami, okazał się tym samym niewysokim jegomościem, którego spotkał nad stawem. Jego twarz prócz wczorajszego kaca wyrażała sobą najwyższe przerażenie.

- Co się stało? - Aspirant Kot poczuł lekkie zaciekawienie.

- Wybrali je, te ryby! - Głos człowieczka był bełkotliwy, ale pełen tragizmu. - Mówiłem im, żeby zakopać to dziadostwo albo spalić, tak jak pan kapitan kazał, ale nie. Dowiedzieli się, że będą spuszczać staw, to przyszli i wybrali. A to z tego nieszczęście jakieś może być, bo to przecież ludojady!

- Chwileczkę, kto wybrał? - Aspirant starał się zaprowadzić jakiś porządek w zeznaniach małego człowieczka.

- Jak to kto? Ludzie!!!

Młodszy aspirant Kot dopiero teraz przyjrzał się rozmówcy uważnie. Osobnik ów, jak już wyżej wspomniano, wzrostu był niewielkiego. Ubranie wskazywało na pochodzenie robotnicze, lecz cechowała je jakaś ekstrawagancja, która - gdyby materiały były odpowiednio droższe - mogłaby uchodzić za wyrafinowanie. Jego twarz, czerwona i poorana kraterami jak wschodzący nad horyzontem księżyc, świadczyła o zaawansowanej chorobie alkoholowej lub (nie osądzajmy z góry człowieka) o jakimś rzadkim schorzeniu skóry.

- Zaraz, zaraz! - Aspirant Kot powoli układał sobie w głowie przebieg wydarzeń. - Ludzie przyszli i wybrali ryby ze stawu, w którym utopił się Zdzisław Jabłoński. Przecież te ryby zeżarły człowieka, nie przeszkadzało im to?

- A niby kto miał im o tym powiedzieć? Myśmy przecież spali.

- Jak to spaliście? Po spuszczeniu wody i po zakończeniu czynności przez ekipę dochodzeniowo-śledczą mieliście te ryby zebrać i spalić!

- No tak, i ja nawet mówiłem, żeby tak zrobić, ale Józek, to znaczy Józef Walczak powiedział, że to się zrobi jutro, bo już zmierzcha, a teraz trzeba wypić za pamięć starego Jabłońskiego. Ktoś skoczył po flaszkę, no i pewnie tam się wygadał, bo jakeśmy się rano obudzili, to ryb już nie było, za to wszędzie były ślady opon od rowerów.

- Matko Boska! Trzeba tych ludzi jakoś zawiadomić! - Aspirant Kot nie bardzo wiedział, co w tej sytuacji robić. - Nie mogą przecież tego jeść...

- Tak jest, panie władzo. Tylko jak to zrobić? Jest Wigilia, wszyscy siedzą w swoich mieszkaniach. Trzeba by chodzić od domu do domu.

- Wystosujemy apel i nadamy go przez radio.

- Tu nie ma radia. Trzeba by chodzić od domu do domu.

Młodszy aspirant Stanisław Kot skulony niczym uciekający przed sprawiedliwością złoczyńca, z głową wtuloną z zimna w postawiony kołnierz policyjnej kurtki, szybkim krokiem przemierzał ulice prowincjonalnego miasteczka Ł. Śnieg oczywiście musiał zacząć padać akurat dzisiaj. Dzieci pewnie będą się cieszyć, dla niego jednak był to tylko dodatkowy cień w jego męczeńskiej koronie policyjnego specjalisty od kretyńskich zadań. Za chwilę po raz dwudziesty czy trzydziesty wejdzie do któregoś z tych miłych, jednopiętrowych domków, gdzie po otwarciu drzwi przez właścicieli wygłosi swoją starannie przygotowaną przemowę: „Dzień dobry państwu, tu policja! Dzisiejszego ranka na terenie jednego z okolicznych gospodarstw rybackich dokonano kradzieży sporej partii ryb. Nie chodzi nam o to, aby ludzi, którzy się jej dopuścili, pociągnąć, broń Boże, do odpowiedzialności karnej, lecz o

to, że ryby te były, jak by to powiedzieć... zatrute. Ich spożycie może grozić poważnymi następstwami. Oczywiście nie podejrzewamy nikogo z państwa, prosimy tylko o niespożywanie ryb pochodzących z niewiadomego źródła. Dziękuję za uwagę i życzę wesołych świąt!”

Jak dotąd, nikt nie przyznał się do uczestnictwa w zdarzeniu. Wszyscy twierdzili, że swoje ryby kupili w sklepie, że pierwsze słyszą o jakiejś kradzieży, ale że bardzo dziękują i również życzą wszystkiego najlepszego. W momentach tych młodszy aspirant uśmiechał się wewnątrz. Życzenia wesołych świąt skierowane do niego miały w jego odczuciu wysoce humorystyczny wydźwięk. Dzisiejszą Wigilię spędzi zapewne na bieganiu od domu do domu i przeszkadzaniu ich właścicielom w przygotowaniach do uroczystej kolacji. Miasteczko Ł. nie należało do szczególnie rozległych, jednakże odwiedzenie każdego domu i każdego mieszkania znajdującego się na jego terenie było i tak wyczynem na miarę prac Heraklesa. Wyczynem, dodajmy, którego sens daleki był od jednoznaczności.

Aspirant Kot, szczerze mówiąc, czuł się jak idiota. „Niechby już zeżarli te ryby” - myślał sobie - „co by się wielkiego stało? Po pierwsze o niczym nie wiedzą, więc nawet by nie zauważyli, po drugie zakaz jedzenia ludzkiego mięsa jest tylko tabu kulturowym niemającym żadnego racjonalnego uzasadnienia. Zresztą w tym wypadku mogliśmy mówić co najwyżej o kanibalizmie pośrednim.

Takimi to rozmyślaniami zabawiał się młodszy aspirant Kot, wędrując nieśpiesznie od domu do domu. Właśnie zmierzał w kierunku czteropiętrowego bloku, jednego z trzech, które znajdowały się w Ł. Miał nadzieję zaznać w nim odrobinę wytchnienia - chodzenie po schodach w ciepłym budynku jest przecież znacznie przyjemniejsze niż bieganie po zimnych i omiotanych wiatrem ulicach. Uskrzydłony tą myślą przyśpieszył kroku. Po chwili znajdował się przy wejściu. Jeszcze tylko naciśnięcie klamki, skrzyp nieoliwionych zawiasów i był już w środku.

Klatka schodowa, do której z taką ulgą wszedł, była czysta, choć dawno już nieremontowana. Na półpiętrze widać było doniczki z kwiatami i wiszącą na ścianie reprodukcję jakiegoś obrazu. Aspirant Kot miał już zadzwonić do drzwi pierwszego mieszkania, gdy nagle dostrzegł coś jeszcze. Ze schodów nad nim lała się woda. Strużki na razie były dość cienkie, lecz z każdą chwilą wyraźnie wzbierały. Zaintrygowany ruszył do góry. Lało się z któregoś z wyższych pięter. W miarę jak wchodził coraz wyżej, było jej coraz więcej. Poza wszystkim było w niej coś dziwnego. Przyjrzał się jej uważniej. Tak, teraz nie miał już wątpliwości. Była różowa. Różowa, a w zasadzie wodnistoczerwona. Zupełnie jakby ktoś rozpuścił w niej... krew!

Aspirant Kot rzucił się pędem na górę. Minął dwa kolejne piętra i oto znalazł się u celu. Z mieszkania numer 28 na czwartym piętrze lała się woda. Strumieniami wypływała spod drzwi, a następnie szeroką taflą spływała po schodach.

- Obywatele, otwórzcie! - krzyknął Kot i zaczął walić pięściami w drzwi. Odpowiedziała mu głucha cisza. Nie zastanawiając się długo, podjął próbę wyważenia drzwi. Seria uderzeń barkiem nie przyniosła jednak rezultatu. Z mieszkań po lewej i po prawej stronie wychyliły się głowy zaciekawionych sąsiadów. Aspirant Kot czując na sobie wzrok widowni, teatralnym gestem wyszarpnął z kabury pistolet i odwracając z lekka głowę, trzy razy wystrzelił w

zamek. W miejscu klamki pojawiła się czarna dziura. Z całej siły kopnął w drzwi (widział to w filmach), po czym rozchlapując wodę wbiegł do mieszkania.

Z pozoru wszystko wyglądało w nim normalnie. Ani śladu walki czy włamania. W łazience słychać było odgłos lejącej się z kranu wody. Ruszył w tym kierunku. Nim jednak tam dotarł, kątem oka dostrzegł coś, co kazało mu się zatrzymać. W pokoju na podłodze twarzą w wodzie leżało kobiece ciało. Lewa ręka wyciągnięta przed siebie zdawała się szukać stojącego na regale telefonu. Prawej ręki nie było. Zamiast niej z ciała nieboszczki sterczał krwawiący kikut. „Tego już za wiele” - pomyślał Kot i była to jego ostatnia świadoma myśl. Ściany nagle zaczęły wirować, sufit obniżył się i uderzył biednego aspiranta w głowę. Padając na podłogę dojrzał jeszcze przez otwarte drzwi łazienki wannę i przelewającą się przez jej brzegi wodę. Pływał w niej, poruszając leniwie płetwami, karp.

Izba przyjęć szpitala rejonowego w Ł. wyglądała jak wszystkie tego typu miejsca na świecie. Aspirant Kot leżąc na szpitalnym łóżku, powoli odzyskiwał przytomność.

- Obudził się pan - z zawodową radością stwierdził stojący obok niego lekarz. - Niech się pan nie obawia, nic panu nie będzie.

- Tam... w mieszkaniu... trup! - wyszeptał próbując podnieść się Kot.

- Wiemy, wiemy! - szeroko uśmiechnął się lekarz. - Proszę się o nic nie martwić, sąsiedzi o wszystko zadbali. Zadzwonili po policję i po pogotowie. Komendanta ściągnęli wprost od wigilijnego stołu.

- Co mi się stało? - spytał już pewniej Kot. - Stracił pan przytomność. Prawdopodobnie wskutek nieszczęśliwego nałożenia się paru czynników. Nagła zmiana temperatury otoczenia, gwałtowny wysiłek fizyczny, szybka zmiana wysokości... w końcu wbiegł pan pędem na czwarte piętro... no i przede wszystkim silne wzruszenie. To się zdarza.

- Co z karpiem?

- Jakim karpiem? - zdziwił się lekarz.

- W wannie w mieszkaniu pływał karp!

- Pańscy koledzy z policji na pewno wszystkiego dopilnowali - pobłażliwie uśmiechnął się lekarz. - Teraz proszę leżeć i odpoczywać. Zaaplikowaliśmy panu zestaw witamin i na wszelki wypadek środek na uspokojenie. Życzę wesółych świąt!

- Panie pułkowniku! - Głos, który usłyszał aspirant, doszedł do niego z bardzo dużej odległości. - Panie pułkowniku, to ja!

Aspirant Kot powoli otworzył oczy. Obok niego, tuż przy szpitalnym łóżku, stał rozglądając się konspiracyjnie na boki dobrze mu znany mały człowieczek.

- O co chodzi? - na wpół przytomnie spytał Kot.

- Jak to o co? O te ryby! Widział pan, jak załatwiły tamtą kobietę?

- Przede wszystkim nie ma żadnego dowodu, że zrobił to karp. - Aspirant Kot mimo pewnego otępienia starał się myśleć logicznie. - Równie dobrze mógł to być zwykły nieszczęśliwy wypadek: omyłkowy cios tasakiem, wpadnięcie na szybę, wkręcenie się ręki w elektryczną maszynkę do mięsa... Tak, zwłaszcza to ostatnie brzmi dość prawdopodobnie.

- Niech pan nie udaje głupiego! - Mały człowieczek zrobił się nagle bardzo poważny. - Najpierw Opiłko, potem Jabłoński, teraz ta biedna kobieta, i wszystko to nieszczęśliwe wypadki?

- Więc co, ryby mordercy? Niech pan nie będzie śmieszny! - Ryby ludojady, młodszy aspirancie Kot! - Jego rozmówca spojrzał na niego niespodziewanie przenikliwym wzrokiem.

- Ryby, które posmakowały ludzkiego mięsa! Nie czytał pan w dzieciństwie powieści podróżniczych? Tygrys, który pozna smak ludzkiego mięsa, staje się ludojadem. Przestał być człowiekiem i odtąd zawsze już będzie na nich polował. Trzeba go zabić, inaczej nigdy nie przestanie mordować!

Aspirant Kot popatrzył na niego, jakby zobaczył go dziś po raz pierwszy. Mały człowieczek zmienił się. Znikła gdzieś karykaturalność jego wyglądu i zachowania. Zamiast niej dostrzec można było patriarchalną prawie godność i jakiś taki błysk w głębi oka, od którego Kota przechodziły ciarki.

- No, wybaczy pan! - próbował jeszcze oponować. - Karp to nie tygrys, nie jest w stanie zagrazić człowiekowi!

- Nie chodzi o rozmiar, chodzi o zasadę! Człowiek jest panem wszelkiego stworzenia, tak? A dlaczego? Czy dlatego, że jest szybszy, silniejszy, bardziej wytrzymały? Nie! Dlatego, że zwierzęta się go boją! Człowiek dla zwierzęcia jest jak bóg, zwierzę czuje przed nim metafizyczny lęk. Co jednak będzie, gdy zwierzęta przekonają się, że człowieka również można zabić i zjeść? Bunt! Bunt, i to na wielką skalę! Pół biedy, gdy dotyczy to takiego tygrysa, no bo ile jest tygrysów na świecie? Ale ryby? Ryb jest miliardy i nie da się ich wszystkich powystrzelać.

- Z wilkami się udało - niezbyt przytomnie zauważył Kot.

- Wilków było mniej. Zresztą walka z nimi trwała tysiące lat. Pamięta pan czytanki z historii średniowiecza? Wilki napadające na miasta, atakujące ludzi na drogach! To była wojna i myśmy tę wojnę wygrali!

- Więc co? Mamy teraz wyruszyć na wojnę z rybami?

- Nie, nie ma na szczęście takiej potrzeby. Zaraza nie rozprzestrzeniła się jeszcze zbyt szeroko, możemy ją zdusić w zarodku.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

- Problem polega na tym, iż naruszony został odwieczny, wywalczony przez przodków, okupiony tysiącami ofiar porządek świata. Porządek następujący: my jemy, one są jedzone. Jeśli natychmiast nie zareagujemy, staniemy w obliczu światowej katastrofy! Musimy dokonać jakiegoś aktu, który ten porządek przywróci, pokaże raz na zawsze zwierzętom, gdzie jest ich miejsce.

- A gdzie jest?

- Jak to gdzie? W garnku!

Aspirant Kot pokonując otępienie i senność, wchodził po schodach prowadzących do drzwi policyjnego komisariatu w Ł. Ucieczka ze szpitala nie nastęrczyła mu specjalnych trudności. Cóż, była Wigilia, nikt za bardzo nie przejmował się pacjentami, poza tym mały człowieczek zorganizował wszystko bardzo sprawnie. Cywilne ciuchy, które mu dostarczył, mimo iż pasowały, trochę jednak śmierdziały. Całe szczęście, nie przeszkadzało mu to zbyt - środki na uspokojenie, które mu podano, musiały przytępić także jego węch. Aspirant Kot ciągle nie był do końca przekonany co do słuszności podjętych przez siebie działań. Próbował zmusić się do myślenia, lecz w jego obecnym stanie było to nad wyraz trudne. Obie możliwości - pierwsza: mały człowieczek ma rację, i druga: jest on niebezpiecznym,

zapijaczonym świrem - wydawały mu się równie prawdopodobne i szczerze mówiąc, równie obojętne. Gdyby nie nadzwyczajna energiczność jego obszarpanego sprzymierzeńca, który zwał go z łóżka, ubrał, wyprowadził tylnym wyjściem ze szpitala i wypchnął na zewnątrz w wieczorny mrok, aspirant prawdopodobnie nie zrobiłby nic.

Cóż, teraz w każdym razie było już trochę za późno na wątpliwości. Sprawy, mocno popchnięte przez małego człowieczka, od dłuższego już czasu toczyły się same. Aspirant Kot zbliżał się właśnie do celu swojej wędrówki, którym była wanna w łazience komisariatu w Ł. Za chwilę przekona się osobiście - zbawi świat czy też wyjdzie na głupka. Szczerze mówiąc stawał raczej na tę drugą możliwość.

Wedle słów jego nowego przyjaciela właśnie tam - w wannie łazienki komisariatu policji - przetrzymywany był on: karp z mieszkania numer 28, bezpośredni, choć niemy świadek morderstwa. Świadek czy też sprawca? Aspirant Kot ciągle nie mógł się zdecydować, co o tym myśleć. Historia opowiedziana przez małego człowieczka wydawała mu się niemożliwa, nieprawdopodobna, coś takiego po prostu nie miało prawa zdarzyć się w świecie, który znał. Z drugiej strony podczas drogi, jaką przebył idąc tu ze szpitala, dostrzegł parę niepokojących objawów zdających się pośrednio potwierdzać jej prawdziwość. Pies państwa Wieczorkowskich, zazwyczaj wybiegający mu na spotkanie i łaszący się do nóg, dziś rzucił się na niego z dzikim ujadaniem. Gawrony, tak do niedawna płochliwe, teraz patrzyły na niego spode łba, groźnie kracząc. Sikorki pikowały niepokojąco blisko jego głowy. W świecie zwierząt coś się działo - co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Aspirant Kot odnalazł klucz i wolno otworzył drzwi. Cokolwiek za nimi czekało - niebezpieczeństwo czy kompromitacja - niewarte było, by się do tego śpieszyć. W nozdrza uderzył go zapach ciepła, kurzu i starych policyjnych akt. Poza tym dało się jednak zauważyć coś jeszcze - ledwie wyczuwalny, subtelny, choć drażniący zapaszek ryby. Aspirant Kot wzdrygnął się mimowolnie. Chwycił zostawioną przez kogoś w korytarzu policyjną pałkę, zapalił światło i ruszył w głąb komisariatu. Znał tu każdy kąt, mimo to czuł się nieswojo. Cisza, odgłos jego własnych kroków, ostre światło kolejno zapalanych żarówek i ten zapach... Ile by teraz dał, by usłyszeć w którymś z mijanych pokoi głos tego durnia komendanta!

Ostrożnie posuwając się wzdłuż ścian, dotarł wreszcie do drzwi łazienki. Przystanął i wyczuł słuch. Wydało mu się, że słyszy lekki plusk. Niepewnie dotknął klamki. Już miał ją nacisnąć, gdy nagle cofnął rękę. Zapomniał o jeszcze jednej, niezmiernie ważnej rzeczy. Odwrócił się i podszedł do małej, stojącej w korytarzu kuchenki. Służyła ona policjantom, którzy zostawali na nocne dyżury - zawsze można było ugotować na niej herbatę lub zupę z proszku. Odnalazł największy garnek i napełnił go wodą. Podpalił gaz i postawił garnek na kuchence. Ostrożnie rozwiązał woreczek, który dostał od małego człowieczka, i wsypał jego zawartość do gotującej się wody. Liść bobkowy, parę ziaren pieprzu i sól. No i trochę żelatyny. Tę jednak odłożył na później.

Teraz wszystko było już gotowe. Chwycił mocniej pałkę i ruszył w kierunku łazienki. Chwila wahania zwalczona przez krótkie: „A co tam!”. Gwałtownie otworzył drzwi. Tak jak przypuszczał, w wannie pływał karp. Ryba leniwie wystawiła łeb i spojrzała w jego kierunku. Była wielka, ledwo mieściła się w wannie. Jej oczy i grzbiet wystawały ponad powierzchnię wody. Pysk otwierał się i zamykał na przemian, ukazując małe, ostro zakończone zęby.

*Inspektor Pies powoli podchodził do bestii. Małe, zielonkawe oczka potwora lśniły fosforyzująco. Koniec ogona nerwowo bił o ziemię.*

*Inspektor wytrzymał spojrzenie potwora, potem spokojnie podniósł miecz. Bestia poruszyła się nerwowo. Dał się słyszeć syk, jakby uchodzącej z kotła pary. Inspektor przygwałdzał potwora wzrokiem do ziemi. Zbliżał się powoli, ale nieubłaganie.*

- Aaaa!!! - krzyknął aspirant, gdy zęby ryby zacisnęły się na jego lewym przedramieniu. Fortel z wypuszczeniem wody z wanny nie zdał więc egzaminu. Aspirant zacisnął dłoń na rękojeści pałki i z całej siły zaczął nią okładać rybę. Bryzgi wody uderzyły go w twarz i zalały mu oczy. Mimo iż nic nie widział, nie przestawał uderzać. Karp rzucał się na lewo i prawo i bił z całej siły ogonem. Jego zęby coraz mocniej wpijały się w rękę aspiranta. Ten nie czuł jednak bólu. W szale walki nie zauważył nawet, że woda w wannie stała się czerwona.

*Inspektor Pies raz za razem zatapiał miecz w ciele bestii. W powietrzu czuć było zapach krwi i smród wypływających z rozciętego brzucha wnętrzności. Walka nie skończyła się jeszcze. Bestia ostatnim wysiłkiem woli rozwarła paszczę i jednym kląpnięciem odgryzła mu rękę.*

*- Aaaa... - głucho stęknął inspektor. Oczy zasnuła mu czerwona mgła. Nie poddawał się jednak. Chwycił leżący na ziemi miecz i zamachnął się nim z całej siły. Głowa potwora, tryskając krwią, potoczyła się po ziemi. „Jeszcze dwie” - pomyślał inspektor i po raz kolejny podniósł do góry miecz.*

Aspirant Kot ciężko dysząc opierał się o ścianę. Na podłodze łazienki nieruchomo leżał martwy karp. Woda w wannie była czerwona. „To moja krew” - pomyślał aspirant patrząc na przegryzioną niemal do połowy rękę. Zrobiło mu się niedobrze. Pałka wypadła mu z dłoni i potoczyła się po podłodze. „Muszę do łazienki” - pomyślał, lecz zaraz reflektował się: był przecież w łazience. Przed oczami latały mu czerwone i czarne plamy. Chwiejąc się na nogach, ruszył w kierunku wyjścia. W pokoju dyżurnym był telefon. Resztką sił podniósł słuchawkę i zdrową ręką wykręcił numer.

- Słucham! Pogotowie! - odezwał się głos w aparacie.

- Przyślijcie karetkę, jestem ranny! - wykrztusił aspirant.

- Spod jakiego numeru pan dzwoni? - spytał miły głos w słuchawce. - Halo, proszę pana!

Aspirant Kot zachwiał się i oparł czołem o biurko. Słuchawka wypadła mu z dłoni i bezwładnie zawiśła na kablu. Kręciło mu się w głowie. Oczy zachodziły mgłą.

- Pod jaki adres przyjechać? - Głos w słuchawce oddalał się coraz bardziej. - Halo, proszę pana! Pod jaki adres?

- Pod sraki - burknął inspektor odrywając z koszuli pas materiału. Tym zaimprovizowanym bandażem obwiązał mocno krwawiący kikut i zębami zacisnął supeł. Jego lewa ręka kończyła się teraz w okolicach łokcia.

„Całe szczęście mam jeszcze jedną” - uśmiechnął się pod nosem.

## **o książce *Karp ludojad***

Stanisław Kot, młodszy aspirant pracujący w małej miejscowości, marzy o spektakularnych wyzwaniach zawodowych, które przełamią rutynę codziennych obowiązków. Niespodziewanie nadarza się ku temu okazja – Kot odnajduje w stawie rybnym zwłoki człowieka. Gdy wychodzi na jaw, że został on zamordowany, sprawę przejmuje komendant. Młodszy aspirant będzie miał jednak okazję wzięcia udziału w sprawie. Niebawem w stawie z karpami zostają odnalezione kolejne zwłoki.